SPOTKANIE Z AKTORKĄ

665

BARBARY KRAFTÓWNY „JAK BYĆ KOCHANĄ"

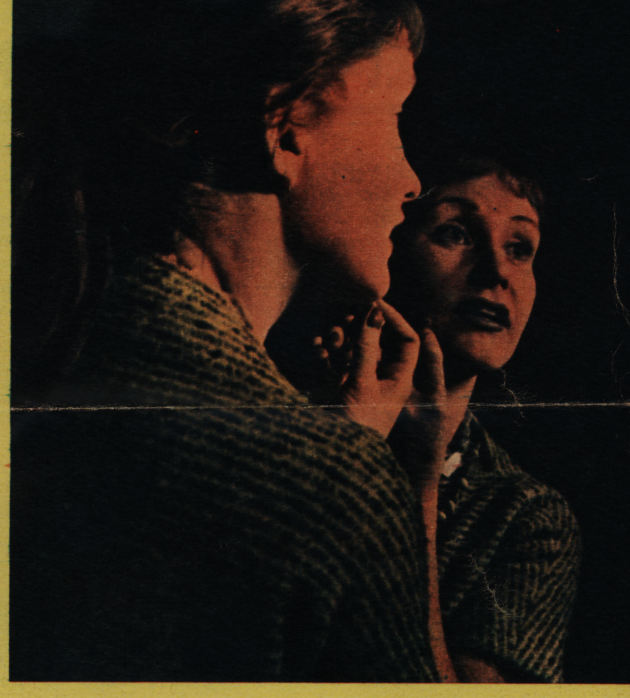

Fot. CAF — Z. MATUSZEWSKI

Aktorstwo Barbary Krafftówny mieści się w dużej skali twórczej: od komedii, groteski do ról typowo dramatycznych, tragicznych. Przykładem rola Felicji w znakomitym, wielokrotnie nagradzanym filmie „Jak być kochaną?" i na drugim biegunie — cała galeria postaci komediowych z telewizyjnego „Kabaretu starszych panów" czy choćby rola Honoratki w serialu TV „Czterej pancerni i pies".

Warszawski telefon popularnej aktorki milczał jak zaklęty. Dzwoniłem o każdej porze dnia, późnymi wieczorami — bez rezultatu. Wreszcie znajomy głos...

— Wpadłam do domu na kilka godzin, załatwię najpilniejsze sprawy i już pędzę do Łodzi. Może tam się spotkamy?

Jak tłumaczy tak długą swą nieobecność w stolicy? Okazuje się — gościnne występy w łódzkim Teatrze Nowym w reżyserowanej przez Kazimierza Dejmka nowej sztuce Sławomira Mrożka pt. „Garbus".

— Dyrektor Dejmek zaproponował mi rolę w „Garbusie". Była to — jak to się mówi — propozycja nie do odrzucenia... Przypuszczam, że nie byłoby aktora, który z lekkim sercem odmówiłby współpracy z tak znakomitym reżyserem. Tak się złożyło, że sztuki, w których występowałam we Współczesnym, zostały „zgrane", a tu nadarza się okazja wystąpienia u Dejmka w ciekawej i dość skomplikowanej roli, wymagającej dużego nakładu sił, wszechstronności...

— Wydaje mi się, że film „Jak być kochaną?" jest pozycją, która jak gdyby została raz na zawsze zarejestrowana w moim życiorysie aktorki, jak również w opinii publiczności i krytyki. Film nagradzany na festiwalach (m.in. „Złote Wrota" w San Francisco za najlepszą rolę kobiecą), często bardzo chwalony. Można powiedzieć, że tym filmem, rolą Felicji zdobyłam sobie pozycję, popularność.

...A mimo to jednak postać Honoratki w „Czterech pancernych" zdobyła bodaj równie duży rozgłos. Co prawda jest to nieco inna kategoria popularności... Nigdy nie przypuszczałam, że tak zapadnie w sercach widzów i że z taką sympatią będą się do mnie ludzie po zagraniu tej roli odnosili. Na każdym kroku spotykam się z objawami żywej, spontanicznej życzliwości.

— Bo i też postać przekomicznej, sympatycznej śląskiej dziewczyny, uwikłanej w wojenne perypetie czterech polskich czołgistów... i psa, znakomicie ożywiła, wzbogaciła ten udany serial. To było widać, że świetnie się Pani czuła w roli tej Ślązaczki Honoraty, bawiła się...

— Tam rzeczywiście można się było bawić, bo to była postać wspaniale przez autorów napisana. Podobnie zresztą napisana została rola mojego partnera Gustlika, którą to postać — jak wiadomo — ze znakomitym wyczuciem odtwarzał Franciszek Pieczka. Nic jednak nie umniejszając z jego aktorstwa, kolega Pieczka jest prawdziwym, autentycznym Ślązakiem, podczas gdy ja musiałam się tego wszystkiego nauczyć, przede wszystkim niezwykle barwnego, bogatego języka...

A poza tym — skoro już o tym mowa, dlaczego Honoratka tak mi przypadła do serca — jest to tyo roli z repertuaru charakterystyczno-komediowego, w którym to repertuarze od początku swoich poczynań w teatrze, a nawet już w szkole dramatycznej, czułam się bardzo dobrze. W szkole określana byłam przez pedagogów i profesorów jako aktorka z wyraźnymi inklinacjami charakterystyczno-komediowymi. Z czasem mogłam się sprawdzić w innych gatunkach — czy to w dramacie, czy w formach muzycznych. A wracając jeszcze do tej mojej roli w „Czterech pancernych i psie", była to dla mnie kapitalna, niepowtarzalna przygoda. Tam co krok, każdego dnia zdjęciowego, czekały na człowieka niespodzianki... Mało, że był to film plenerowy, ale plener w określonych wojennych warunkach... Kręcony był przecież na poligonach, przy akompaniamencie całej masy wybuchów, w gąszczu wojennych wydarzeń, wśród czołgów, armat, z tysiącami statystów, w dymie i kurzu... Przyznam się, że ogromnie się tego wszystkiego bałam... A musiałam przecież brać w tym udział, no bo jak inaczej?... Wszystko więc było dla mnie przygodą, przeżyciem... I te granaty, które podczas ucieczki z Gustlikiem musiałam rzucać z samochodu... I te wybuchy, które niby nieprawdziwe, ale po których przecież ziemia wypryskiwała gejzerem, waliły się jak zapałki dekoracje, a deski leciały na głowę... Człowiek musiał uciekać, żeby go nie przysypało... Tak bałam się tych wybuchów, tak uciekałam z tego miejsca, że kamera miała trudności z uchwyceniem mnie.

Wspomniałam panu o tych odruchach sympatii przypadkowo napotkanych ludzi. Oni widzą po prostu we mnie Honoratkę, no i chcą coś dla niej zrobić... Tak się składa, że prowadzę samochód, a bywa, że jestem wobec tej piekielnej maszyny bezradna. Coś się tam w środku zepsuje i rozpacz na szosie... Nie zdarzyło się, żeby mi ktoś nie pomógł, a przy okazji usłyszałam masę miłych słów, komplementów. „Jakże to, Honoratce naszej nie pomożemy?!"

— Mówi się, że dobre role „robią" aktora... Miała Pani przecież całą masę takich ról — teatralnych, filmowych, telewizyjnych... Które z nich zaważyły na rozwoju Pani aktorstwa, wycisnęły swoje piętno?

— Podzieliłabym swoją pracę teatralną, sceniczną na pewne etapy, wynikające po prostu z upływu czasu, z sumy doświadczeń. Bo po iluś tam latach, kiedy przeszłam w pierwszym okresie swojego aktorstwa przez całą serię sztuk klasycznych — w pewnym momencie wszedł na polskie sceny Witkacy. Kompletnie inny styl, inna epoka teatralna. I wtedy przekroczyłam jakiś etap. Kolejnymi, niejako zwrotnymi punktami w moim zawodzie aktorskim były doświadczenia wyniesione z pracy nad Gombrowiczem, nie mówiąc już o kapitalnej szkole, jaką dała mi rola w „Żywocie Józefa" Mikołaja Reja w sztuce reżyserowanej swego czasu w Teatrze Narodowym.

Kiedy usiadłam w czasie pierwszej próby nad egzemplarzem scenopisu, język Reja wydał mi się wręcz nie do opanowania... Inne słowo, inna akcentacja, inny dźwięk, rytm mówienia, że nie wspomnę o technice, sposobie poruszania się na scenie. Dziś to jest wystylizowane, wyprowadzone w ramy pewnej konwencji, ale wówczas?... Trzeba się było po prostu cofnąć o te kilka wieków, wczuć się w tamtą epokę. Okres pracy nad tym gatunkiem literatury staropolskiej przyniósł mi tak wiele korzyści, tak poszerzył i wzbogacił mój warsztat twórczy... To owocowało w dalszych moich poczynaniach. Słowem — żadna praca, żadne doświadczenie nie pozostają bez śladu. Złe doświadczenia też pozostawiają jakiś ślad, dostarczają materiał do przemyśleń i analiz.

— Zechciałaby Pani opowiedzieć o swojej pracy nad nową rolą?

— To nie takie proste... Dużo zależy od tworzywa literackiego, innymi słowy — j a k ta rola została napisana. Bywają przecież role, które człowiek bardzo trudno opanowuje... Są dramaturdzy, którzy wspaniale konstruują swoje postacie, są one niezwykle plastyczne, tak wyraziście określone w najdrobniejszych szczegółach. Jeśli zatem ma to miejsce w scenopisie, to oczywiście łatwiej jest aktorowi nauczyć się takiej roli, bo ma prawie gotowy materiał. Mówi się tam np.: „mała, gruba, śmieszna, sepleni..." albo: „...jest szczupła, chora, zgryźliwa" itp. I to ma swój wykładnik w tekście, który rzeczywiście przekazuje tę zgryźliwość czy śmieszność.

Są też propozycje literackie, które pozostawiają aktorowi i reżyserowi spory margines, pewną swobodę w budowaniu roli, jak to ma miejsce u Witkacego.

— Dlaczego, dysponując całą plejadą znakomitych aktorów komediowych, charakterystycznych, tak rzadko ostatnio udaje nam się zrobić dobrą komedię filmową?

— Bo nawet w naszym pojęciu, aktorów zawodowych, komedia zaliczana jest do najtrudniejszych form sztuki teatralnej czy filmowej. Bierze się to po prostu stąd, że łatwiej jest człowieka wzruszyć niż naprawdę serdecznie rozśmieszyć. To co kiedyś było śmieszne, zabawne — dziś już nie budzi tego rodzaju reakcji.

Trudność zrobienia dobrej komedii wypływa, moim skromnym zdaniem, głównie z braku dobrych, wartościowych scenariuszy. A dlaczego nie pisze się takich scenariuszy? Osobiście noszę w sobie dużo pogody ducha i dostrzegam w codzienności całą masę sytuacji komediowych...

Rozmawiał BARTOSZ GŁOWACKI